Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Piątek 8 Czérwca — N^{er} 7. — 1838 Roku.

AKT PIĄTY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

PRZEZ J. K. (1)

OSOBY.

Wacław.
Eliza, żona jego.
Hrabia Henryk.
Doktor.
Walenty służący doktora.
Jan służący Wacława.

SCENA I.

(*Teatr wyobraża altanę gustowną i bogatą, któréj drzwi otwarte wychodzą na ogród illuminowany: słychać w oddaleniu muzykę balową i widać czasem przechodzące osoby.*)

* * *

Hrabia (*przechodzi się niespokojny, poglądając często ku drzwiom.*)

Nieprzychodzą! — Co za nieznośne oczekiwanie! — Już mi ten przymus ciężyć zaczyna. Wié ona dobrze, że ją kocham, ale teraz czuję odwagę powiedzieć jéj, że musi bydź moją. Tyle miałem do tego sposobności: zawsze błagającém wejrzeniem rozbrajała śmiałość, zamykała usta. Jéj mąż zajęty grą, ale widzę, że ma nas na oku, dotąd milczy: zdaje mi się przecięż, że ten ponury i głęboki filozof, ma wźrok bystry, zaostrzony siłą miłości. (*po chwili*) Jeszcze niéma. Niedotrzymałażby mi Emilka słowa? obiecała ją skłonić do przejścia się po ogrodzie, tu wprowadzić i zamknąć — (*przysłuchuje się*). Nie to nie ona.

(1) Przedrukowano z książki wyszłéj w roku bieżącym w Wilnie pod tytułem: *Rusałka, wydana przez Aleksandra Grozę.* Wymiéniamy skąd ten artykuł bierzemy, aby nasi czytelnicy mogli trafić do tego źródła w którém i pod względem poezyi i prozy zaspokoją swoje pragnienie — A jak znany zaszczytnie w świecie literackim Michał Grabowski słusznie powiedział w Rusałce, mówiąc o Kwartalniku Naukowym Krakowskim i Wizerunkach wychodzących w Wilnie: «*Nié możemy dosyć zachęcać naszych czytelników, ażeby nie dopuszczali (co aż nazbyt zwyczajną u nas) żywić się samym tylko molom temi dwoma zbiorami pism, czyniącémi rzetelny zaszczyt naszemu pismiennictwu*, tak i my z sumiennością za Rusałką temi samemi słowy odezwać się sądziemy być naszą powinnością.

Jakieś nieznośne figury przechodzą. — (*z niecierpliwością*) Wacław nareszcie postrzeże się, że mię tak długo niéma, ha słyszę jéj głos: — O! poczciwa Emilko! — żeby tylko tu weszła. Wié ona dobrze, że ten bal dla niéj, że jest jego królową. Imaginacya jéj podniesiona, tém chętniéj słuchać mię będzie. (*chowa się za boczne drzwiczki*).

Eliza (*w stroju balowym wchodzi i poziéra w koło.*)

Co za czarujące schronienie! ale gdzież Emilka? — Emilko!.. (*staje przed lustrem i poprawia sobie włosy*) Emilko! niegodziwa, zostawia mię tu samę. Śliczna altana! (*siada na sofie*) on tu pewnie nie raz spoczywa, a może i o mnie marzy?

Hrabia (*zbliżając się klęka.*)

O kimże mógłbym marzyć?

Eliza (*zrywa się.*)

Ha! Emilko! — puść mię Hrabio! — O co za zdrada, mogłażem się jéj spodziéwać od twojéj kuzynki, która się miéni moją przyjaciółką? (*chce odéjść.*)

Hrabia.

Elizo! piękna! droga Elizo, zatrzymaj się!

Eliza.

Puść mię Hrabio! tuż za tobą występek i hańba.

Hrabia.

Będę skromnym, bojaźliwym, pobożnym. Uklęknę z daleka, ręce złożę, czcić cię będę jak bóstwo, ale posłuchaj mię!

Eliza.

Zapomniałeś, że mam męża, że mam dzieci, — moje niewinne anioły, — o nie, nie — nié mogę przyjąć czci twojéj, ona, jak dym ofiarny, okopca swoje bożyszcze, (*patrzy ku drzwiom*). O mój Boże! tam tłumy gości twoich przechodzą; cały ogród jaśnieje od świateł. Jakże stąd wyjdę, — sama? — Podziękuj Hrabio swojéj kuzynce, że ci tak dobrze usłużyła; ale razem powiédz jéj, że nasza przyjaźń za tym progiem zginęła. Kto nie dba o honor swoich przyjaciół, ten jest zdrajcą. — A mój mąż! mój biédny mąż!

Hrabia.

Twój mąż zajęty grą; — nie bój się Elizo, tu nikt nie wejdzie.

Eliza.

Jakto! więc wszyscy ci goście są w zmowie z tobą? i moja hańba całemu światu wiadoma? Pięknie, tegom nié mogła się spodziéwać. Coś mi miał mówić Hrabio, nie wiém, ale posłuchaj, co ja ci powiém. Mówiłeś mi nieraz o miłości, zdawało mi się widzieć szczére jéj dowody i przyznaję się, że te słowa twoje wpadały do mego ucha, i choć grzészne, głębiéj może nawet

przenikały. Dziękuję Bogu, żem się oszukiwała. Gdybyś mię kochał, starałbyś się otoczyć mię szacunkiem twoich przyjacioł: postępujesz przeciwnie, i prawdziwie podziękować ci muszę, że obudzasz we mnie tę godność kobiécą, którą może uśpiła cokolwiek dawniéjsza twoja zręczność.

HRABIA.

Mylisz się Elizo! przysięgam ci na wszystko, nikt prócz Emilii tajemnicy mojéj nie przenika.

ELIZA.

I tyś się pomylił Hrabio, z tych kilku słów, którem tu przypadkiem wyrzekła, nic sobie nie wnoś. Potrafię stłumić iskrę, któréj światełko dostrzegłeś, a którą w zbytniém zaufaniu w sobie bierzesz za nieugaszony pożar.

HRABIA.

Elizo! posłuchaj mię!

ELIZA.

I cóż mi powiész! jak skoro przestałeś bydź niebespiecznym, mogę cię słuchać! Chociaż przyznam, że tu ani miejsce, ani pora. Jestem w sumieniu spokojna i bespieczna, przecięż jako dbająca kobiéta o swój honor, jako żona czuła na spokojność męża, słuchać cię nie powinnam. Bo uważ, tam sto oczu ciekawych i złośliwych śledzi moje kroki, abym się stała gadką całego miasta, a tam mąż, którego pożéra zazdrość, który w téj chwili z rospaczy może stawi na kartę ostatni fundusz. I niezaręczyłabym nawet, czy do téj gry, w któréj rujnuje siebie i dzieci, nie wciągnęli go twoi wspólnicy, aby tymczasem żona miała czas okryć go hańbą. — Przyznaj Hrabio! że pięknéin trudnisz się rzemiosłem. Na toż używasz środków rozumu, zgubnych powabów, darów losu, aby ten, którego miénisz się przyjacielem okrył synów swych łachmanami; aby ta, któréj się nazywasz kochankiem, przekazała córce swéj sromotę. I ty mię kochasz? ty siebie kochasz!— (*cichym głosem*) A ja, ja się tobą brzydzę!

HRABIA.

Elizo! niezwodź się, nie zmyślaj obojętności, któréj niémasz, ty mnie kochasz, ty walczysz z sobą wszystkiémi siłami cnoty i pokonać się nie zdołasz. I jabym na to pozwolił, abyś ty była nieszczęśliwą; aby we łzach i tęsknocie uwiądł kwiat twojéj młodości? — Nie Elizo! ty musisz bydź moją!

ELIZA.

Milcz! Jeszcześ mię tak dalece nie poniżył, abym cię słu-

chać miała. Idź poszukaj swojéj kuzynki, niech wróci, abym z jakimkolwiek pozorem uczciwości wyjść stąd mogła. Spiesz! (*patrzy ku drzwiom*) ha! nie czas już, mój mąż tu idzie. Boże mój! cóż pocznę? — Oddal się którędy chcesz, odéjdź byle cię nie widział, na Boga, na sumnienie, zaklinam!

Hrabia (*nieporuszony*).

Nie, inny mam zamiar; — zostanę.

Eliza (*składa ręce*).

Henryku!

Hrabia (*otwiéra szybko drzwi boczne i wychodzi*).

Eliza (*sama*).

Cóż mu powiém? — Dla czegóż tu jestem sama jedna? — jaki smutek na jego twarzy! jakaż siła spętała jego kroki i odpychać go zdaje się od tych drzwi fatalnych. Jego milczenie przeraża mię. Któż wié jak bliska jest chwila wybuchnienia? jeżeli go widział, słyszał! Boże! Boże! Jakże to okropnie bydź winną. Ale mogłamże się spodziéwać takiéj zdrady od przyjaciółki. Wszystko się na mnie sprzysięgło i to serce, to biédne serce w zmowie z wrogami mojego pokoju i honoru (*siada*).

Wacław (*wchodzi zwolna i pogląda w koło*).

Jesteś tu Elizo?

Eliza.

Przechadzałam się z Emilką; usiadłam odetchnąć: tylko co stąd wyszła.

Wacław.

Kto? Emilka?

Eliza.

Głowa mię zabolała i dla tego niewracam do sali.

Wacław.

A mnie tu, cóś zabolało i dla tego wyszedłem z sali.

Eliza.

Smutny jesteś mój mężu?

Wacław.

Czy masz dla mnie pociechę? przegrałem wszystko!

Eliza.

O Boże!

Wacław.

Ale i ty podobno stawisz wszystko na kartę?

Eliza (*proszącym głosem*).

Wacławie!

Wacław.

Pięć lat temu, wieczorem, skoro mogłem się uwolnić od obowiązku, dosiadłem konia. Pamiętasz Elizo! koń to był dzielny, droga niedaleka, a jednak zawsze pokaléczony wracał do domu. Bo jakiż koń na świecie mógł był wówczas biédz równie z chęciami mojémi. Kiedy w około mnie rozlégały się pieśni

ptaków, zieleniły się łąki, kiedy zdaleka błyszczały stawy ogromne, jak milowe źwierciadła, kiedy natura w całéj ozdobie wiosny, ozłocona zachodzącém słońcem wzywała mojego oka, upajała wszystkie zmysły i z szumem lasów zdawała się ku mnie szeptać słowa miłości, jam nie niewidział, nie słyszał, boś ty była piękniéjszą niż ona, bom jechał do ciebie!

ELIZA.

Czy myślisz, że mi ten czas przestał bydź miłym?

WACŁAW.

Pamiętasz tę altanę na wzgórku: zdaleka u jéj wchodu widziałem powiéwającą twą chustkę, i wówczas ostroga tonęła w boku mojego konia, i w jednéj chwili byłem u nóg twoich, szczęśliwy, spokojny i bespieczny! I tak było codzień, a ta altanka była prosta, skromna, cienista; powój wił się po jéj powiązanych chrustach, chmiel osłaniał jéj wiejskie sklepienie i okrywał naszę miłość, niewinną jak twoje serce, czystą jak życie aniołów, pełną nadziei szczęścia, jak myśl ośmnastoletnia. Ta altana Elizo! pełna sztuki i ozdoby, tu marmur błyszczy na ścianach, tu złoto otacza źwierciadła, które powtarzają twoję piękność, tu wykwintna roskosz założyła siedlisko i siéć ponętną rozpięła. — I ty tu czekasz Elizo! — nie na mnie!...

ELIZA.

Wacławie! maszże mnie za występną? — O! to myśl zabijająca!

WACŁAW.

Kiedym cię wziął z rąk matki i zaprowadził przed ołtarz, kiedym po raz piérwszy usłyszał płacz mego syna i ujrzał uśmiéch szczęścia na twojéj zbolałéj twarzy, kiedym cię widział przez lat cztéry łożącą wszystkie siły na to, aby dzieci miały rozrywkę, mąż pociechę, dom pokój i ciszę, myśli téj nie miałem. Wiészże, kiedy mi przyszła? — O! ty pewnie tę chwilę pamiętasz, i dla mnie ona pamiętna. Siedziałaś przy oknie, dzieci bawiły się u nóg twoich, ja z boku, zajęty pracą często odrywałem wźrok od papiérów, aby spójrzéć na ciebie, jakbym przeczuwał, że to była ostatnia chwila, w któréj byłaś całkiem moją. W tém zatętnił galop konia, spójrzałaś w okno i patrzałaś długo, jak gdybyś wiedziała, że jeździec wróci; jakoż tentent się powtórzył, i taki sam rumiéniec, jak w téj chwili, okrył i wtenczas twarz twoję, i wów-

czas to urodziła się we mnie ta myśl, która dzisiaj dójrzała.

ELIZA.

O mój Boże jam niewinna!

WACŁAW.

Jakże Elizo, czy stąd wyszła Emilka? nie poniżaj się do kłamstwa. — Ale także nie wyznawaj; (*cicho*) — widziałem! — (*Eliza pada na kolana*). Dotąd starałem się czuwać nad tobą, jak twój anioł stróż, zdaleka, tajemnie: — ostrzégałem cię tylko niekiedy spójrzeniem, smutkiem. — Dziś, przywodzę ci na myśl dawniéjsze łata, aby ich obraz przypomniał czém dla mnie jesteś; dziś, gdy już nie wiém z pewnością, jak dalece jestem nieszczęśliwy i pokrzywdzonym; ostrzegam cię Elizo! iż w tém sercu głębokiém, oprócz miłości dla ciebie, jest uczucie straszne, okropne! — przypominam ci, że tam dzieci nasze nie wiedzą o tém, że może ta chwila przygotowała im siéroctwo!

ELIZA (*zrywa się*).

Do domu Wacławie, do domu! (*Hrabia i Doktor wchodzą.*)

HRABIA.

Tak wcześnie, kiedy wieczerza przygotowana.

ELIZA (*trzymając się męża*).

Jestem chora, muszę wrócić.

HRABIA.

Wacławie, nie rób mi téj przykrości, to twój kaprys. — Dla tegoż, że ci się nie poszczęściło, masz pozbawiać towarzystwo najpiękniéjszéj jego ozdoby.

ELIZA.

Nie Hrabio, rzeczywiście jestem chorą, racz darować.

HRABIA (*do Wacława*).

Majora zapłaciłem, jak będziesz miał, to mi oddasz; zostań!

WACŁAW.

Elizo, słyszysz? — przegrałem sto dukatów: Hrabia je zapłacił, dziękuję ci.

ELIZA.

Słabo mi.

DOKTOR.

Siądź pani (*podaje jéj krzesło, Eliza siada*).

HRABIA (*głosem wyrzutu*).

Wacławie!

WACŁAW (*z niecierpliwością*).

Hrabio!

HRABIA (*miarkując się*).

Muszę się z tobą widziéć, mamy mówić o rzeczy bardzo ważnéj: za parę godzin czekam cię: — będziesz?

WACŁAW.

Wolałbym teraz.

HRABIA.

Odprowadź żonę: — chora.

WACŁAW.

Więc; — za parę godzin będę.

ELIZA.

Gdzie? — Wacławie!.. (*cicho*) Uciekajmy stąd!.. (*wychodzą*).

HRABIA (*klaszcze—lokaj wchodzi*).

Karéta! (*chce iść za niémi, Doktor zatrzymuje go*). — Dla czego mię zatrzymujesz?

DOKTOR.

Zaczekaj Hrabio, nim będziesz mówił z Wacławem, chciałbym pomówić z tobą.

HRABIA.

Cóż mi powiész?

DOKTOR.

Byłem ojca twojego przyjacielem; — a ten biédak, co dopiéro stąd wyszedł, jest moim wychowańcem, i kocham go jak syna.

HRABIA.

Na cóż mi to mówisz doktorze?

DOKTOR.

Każdy swojémi czynnościami pisze historyą swojego serca, i dziwi się, że ją drudzy czytać umieją. Młody naprzykład bogacz, mający rozum i wielki majątek, znaczenie i powaby, zaprzyjaźnia się z ubogim człowiekiem, który ma piękną żonę; wyrabia mu zyskowne miejsce; otacza ją wszystkiémi przyłudami życia, daje bale na jéj imieniny, ponieważ tak nazywała się jego matka, która już od dziesięciu lat w grobie; — i dziwi się, gdy mu stary przyjaciel powie: kwiatami okrywasz ich hańbę; złotem osypujesz ruiny ich szczęścia!

HRABIA.

Mów zwięźléj starcze! bo tam cała kompanija bez gospodarza.

DOKTOR.

Lepiéj, aby błąkała się bez gospodarza, niż żeby serce błąkało się bez hamulca i unosiło do kroków, których cofnąć nié można. Chcesz z nim mówić: — cóż mu powiész?

HRABIA.

Interes jest wielkiéj wagi dla nas obudwu. — Pragnę go załatwić jak człowiek uczciwy!

DOKTOR.

Hrabio! z takiéj sprawy ani szczęście jednéj strony, ani sumnienie drugiéj, nié może wyjśdź cało i bez kaléctwa.

HRABIA (*z niecierpliwością*).

Od czegoż masz pierścień? będziesz kurował.

DOKTOR.

Wstydź się Henryku! w takiéjże to chwili mógł ci przyjść na myśl żart tak niewczesny. Podobnaż, aby ty, syn najszlachetniéjszego ojca, był prostym rozpustnikiem, igrającym ze szczęściem i pokojem bliźnich, dla tego, że masz miliony? — Posłuchaj co ci powiém, bo cię raz ostatni widzę: — wyciągasz rękę po cudze dobro, wciskasz się jak zły duch do raju dwojga ludzi, na słabość kobiéty

zastawiasz sidla, w które one tak łatwo wpadają. Ośmielony przykładami dziesięciu, którym się udało, możeszże bydź pewnym, że ty jedénasty nie przypłacisz ciężko chwili grzesznéj ucieczby? Znaszże dobrze tego człowieka? — on wszystkie swe nadzieje, wszystkie uczucia zlał na nią. Z całą głębokością piérwszéj i jedynéj miłości kocha ją, i z całą głębokością téj duszy silnéj, energicznéj, niewycieńczonéj, mścić się będzie. Pamiętaj o tém: — uważam was oddawna, i widzę, że w sercu jego okropne myśli powstają!

Hrabia.

Tém pilniéj potrzebuję z nim się rozmówić; a jakikolwiek będzie téj rozmowy skutek, dowiész się. Jesteś stary, wszystkie uczucia w tobie skrzepły, wszystkie uniesienia zmarzły; nié możesz mię sądzić. Wreszcie, nie chcę rozumować, namiętność nie zna rozumowania, i czuję to, że wszelka loika będzie przeciwko mnie. Ale chceszże znać stan mojéj duszy? — powiém ci: kocham ją nad wszystko, nad pokój, nad życie! — to właśnie i jemu chcę powiedzieć, niech pozna złe, niech obiéra środek jak ma zaradzić. Byłem występnym wtenczas, gdym zwrócił oczy na tę, która była dobrem innego, gdym nie unikał powabu, który mię zwolna, stopniami pociągał. Można potępiać człowieka, który nieostróżnie zbliża się nad brzég przepaści; ale gdy już stracił równowagę onże winien, że się w powietrzu utrzymać nié może? że go ziemia ciągnie do siebie wszystkiémi siłami, których rozum wyrachować nie umié? Oto jest moje położenie! czy okropne, czy szczęśliwe, niewiém, czy na dnie téj przepaści znajdę miękkie łono wody, która się rozstąpi podemną i ocali, czy twarde urwisko skały, które mię zdruzgocze: o tém myśléć nie powinienem, bo wybiérać nié mogę. Sądź mię teraz jak ci się podoba. Jeżeli chcesz, przedsiębierz nawet środki do odwrócenia nieszczęścia, które przewidujesz: ja się cofnąć niémogę, bo nie ja sambym uciérpiał, gdyż ona mię kocha. (*wychodzi*).

Doktor (*sam, załamując ręce*).

O nieszczęśliwa! — Ale nie czas narzékać, trzeba ich ratować. Cóż zrobię? — Niedołężna sztuko! ledwie kilka lékarstw na niemoc ciała; ale choréj duszy przywrócić siły, przywołać uciekający rozum, zakląć tę burzę gwałtowną, która rozrywa serca. Ah! i cóżbym dał za to, gdybym taką sztukę na jednę chwilę posiadał! — (*namyśla się*). Wywiéźć ich, niech uciekają: — tak, tak, to może uratować ich pokój; — oddam co mam, niech jadą; — zechceż ona? — i na to środek w niezachwianéj woli. A jeżeli już nie warto ratować? — o nie, nie, to bydź nié może: Wacławby tego dostrzegł, i uwodziciel jużby nieżył. (*wychodzi.*)

(*Scena IIga i IIIcia, w następnym numerze.*)

—◆—

Znaczenie przeszłéj Szarady:

Okolice.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.